Rok 1901. Lwów, 16. Czerwca Nr. 23.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 16. czerwca Nr 23.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 23:

Piotr Świdziński.

PROTOTYP PANA ZAGŁOBY.

(Dokończenie).

W parę tygodni potem, szlachecką dryndulką jechał pan Antoni z żoną i małym czteromiesięcznym synkiem, Rudolfkiem, którego piastowała dorodna Małorusinka.

Po kilkodniowej podróży stanęli państwo Antoniowstwo przed kolumnadą pałacu w Kamieniu. Wybiegła kasztelanowa i znalazła się w objęciach jedynaczki. Rudolfek rychło dostał się na ręce babki, obsypany pieszczotami.

Wyszedł w końcu i sam Jowisz ojciec z senatorską powagą. Córka padła do nóg rodzicielskich. Kasztelan zbladł i prawie chwiał się na nogach, ale zaraz się opamiętał i podnosząc rozszlochaną jedynaczkę, wyrzekł prawie wesoło: — „A przedstawże mi aśćka p. rotmistrza, godnego męża twojego“. Kasztelan był dworak i polityk zawołany, więc odrazu wziął p. Antoniego na afekt, wyściskawszy go czule, chwaląc przytem urodę i minę wojacką. Pobłogosławiwszy wnuka i pozwalając wygadać i nazwierzać się kobietom, poprowadził kasztelan zięcia do swojego gabinetu. Tam, gdy usiedli, a kredencerz podał fajeczki, w doskonałym humorze kasztelan w te odezwał się słowa: — „Trzeba pilnować swojego dobra, panie Antoni. Fortuna prawie magnacka, a ja jużem stary i rad odpocznę. Musisz tu pozostać gdzieś w okolicy i coś dla siebie obmyślić“. „Ja już obmyśliłem JW. kasztelanie“ — odrzekł śmiało p. Antoni. — „Proszę, widzę z ciebie gorączka, a gdzież to obmyśliłeś ulokować moją jedynaczkę?“ — „A w Ignatowie, panie kasztelanie. Tam podobno dom wygodny i grunta nieostatnie, weźmie się więc dzierżawę od teścia i będziemy gospodarowali energicznie“. — „Ślicznieś wykoncypował, kochany rotmistrzu. Młoda głowa, dobra głowa; jabym przez rok nic lepszego nie wymyślił! Poszle wam się nieco gratów, bo jest się czem dzielić, i osiądźcie w Ignatowie, kiedy taka wola Boża i chęć Wasza“. I zamieszkali p. Antoniowstwo w Ignatowie i było im tam dobrze, a błogosławieństwo Boże świeciło nad domem, bo kiedy kasztelan w r. 1812-ym zamykał oczy, przechodząc do spoczynku wiekuistego, było już czworo wnuków w Ignatowie. Po Rudolfie matka moja była trzecią córką z kolei, po niej były jeszcze dwie panny, potem znowu dwóch synów i znowuż córka i syn. Wszystkich dzieci rówieśnych matki mojej za mojej pamięci żyło jeszcze dziewięcioro. Wypadki 1831 roku wywarły wpływ i na kamienieckie gniazdo. Rotmistrz wyruszył z najstarszym synem Rudolfem, już podchorążym, na wojnę i brał udział w krwawych bitwach ludowych. W górze jednak były już zapisane fatalne Mane-Tekel-Fares dla wygasłej rodziny Olędzkich P. Antoni, w czasie wojny mianowany pułkownikiem, cofał się z partyzanckim oddziałem przez Kaliskie ku pruskiej granicy, bo wiedziano już powszechnie o zajęciu Warszawy. Krakusi przytrzymali i zrabowali poddanego pruskiego kupca Beryngsona, który, jak wieść niesie, dostarczał potrzeb wojennych dla armii rosyjskiej. Traf jednak chciał, iż Beryngson, bywając przedtem dość często w Warszawie, poznał osobiście p A. Piotrowskiego. Po przejściu granicy, gdy sprawa powstańcza upadła, pułkownik razem z synem udał się przez Drezno do Francyi, gdzie w pobliżu Marsylii kupił mały dworek z ogrodem. Rudolf, nie mogąc być bezczynnym, został komisantem handlowym przy jednym z większych kantorów. Tymczasem nad Kamieniem zawisła czarna chmura nieszczęścia; po przewróceniu spokoju Beryngson wystąpił z procesem o grubą jak naówczas sumę trzykroć stu tysięcy złotych polskich, jako wynagrodzenie za zrabowane towary i stracone korzyści. Pułkownikowstwo żyli we wspólności majątkowej, żadna intercyza spisaną nie była, więc napastnik wygrał proces i sprzedał przez subhastę dobra kamienieckie. P. pułkownikowa z tylu dostatków zaledwie ocaliła sumę 200.000 złp., które ulokowała na dobrach Dorohusk u Teofila hr. Suchodolskiego. Ale okoliczności szły dla niej gorzej i gorzej; dzieci dorastały, trzeba było każdemu dopomódz, kapitał więc gwałtownie topniał.

Wkrótce przyszło do tego, iż ojciec mój, przez wzgląd na żonę, oddał pułkownikowej dworek drewniany z ogrodem w małem miasteczku Grabowcu, a Skomorochy, majątek rodziców moich, odległe zaledwie o pół mili, dostarczały wszelkich wiktuałów, więc i niedostatku nie było. Bywaliśmy bardzo często u dystyngowanej babki, makaronizującej z francuska i grywaliśmy z nią w maryasza pod czapką lub chustką, aby nie zdradzić sztonika. Panią pułkownikowę zdawała się bawić ta gra niewinna, a gdy wygrywała, humor jej był złoty. Grywała też i z księdzem i burmistrzem Sabowiczem, którego burmistrzykiem mianowała. Babka wyprowadziła się z dworka „szlachetki“ (tak nazywała ojca mojego) do Lublina w roku 1860 i tam w pół roku umarła, pochowana na miejscowym cmentarzu Dalsze losy rodziny Korwinów Piotrowskich, jak sądzę, mniej zainteresują czytelnika, pójdźmy więc za pułkownikiem i synem jego kapitanem, Rudolfem, do Francyi Południowej.

Rudolf był przystojnym i dobrze manierowanym młodzieńcem, więc „dystyngowana głowa“, jak wyrażała się pułkownikowa. Zajął osobą swoją i ożenił się z panną de Chambord z dobrej szlacheckiej rodziny i dość bogatą. Lecz mania robienia fortuny i podniesienia rodu przez majątek zgubiła p. Rudolfa, wywołując cały szereg spekulacyj giełdowych, nieuwieńczonych pomyślnym skutkiem. Biedny kapitan stracił większą część posagowej sumy, a gdy mu żona umarła i jedno z dwojga dzieci, zadesperował, porzucił Francyę, ojca i dziecko i puścił się do Stanów Zjednoczonych — na poszukiwanie złota w nowoodkrytej Kalifornii. Stamtąd i z wielu innych miejscowości, nadsyłała „dystyngowana głowa“ listy do matki, którą zawsze kochał bardzo gorąco. Ale gdy moja babka umarła, jak powyżej

nadmieniłem, pisał już rzadziej i tylko do mojej matki, która stale w jednem miejscu zamieszkiwała. Po śmierci mojej matki w r. 1870 napisał już tylko jeden list z Chicago do mnie z ubolewaniem nad stratą, jaką rodzina poniosła. Potem przestał pisywać i wieści wszelkie zamilkły. Dopiero Henryk Sienkiewicz w roku 1877 czy 1878-ym, bawiąc chwilowo w gościnie u moich sąsiadów pp. Czachórskich w Grabowczyku, po swojej bytności w Ameryce, opowiadał między innemi o poznaniu bardzo oryginalnej postaci starego żołnierza Rudolfa Piotrowskiego w San Francisco, z którym go życzliwy stosunek połączył. Jakoś się tak dla mnie nieszczęśliwie złożyło, żem osobiście nie mógł o tem rozmawiać z Henrykiem Sienkiewiczem, aby wydobyć z niego więcej interesujących dla mnie szczegółów.

W naszem zaciszu na wsi życie płynęło głucho i spokojnie. Ojciec tylko starzejąc się, coraz bardziej dziwaczał i odstręczał swoim humorem gości, których dom liczył tak wielu. Rodziny Olędzkich ojciec nigdy nie lubił, pułkownikowej *respective*. Ich drążkowe senatorstwo i pycha raniły szlachcica, który miał również coś zaznaczyć z przeszłości. Gdy pułkownikowa umarła, trzech kaszlelanów Olędzkich w starych niegdyś złoconych ramach przywędrowało z Lublina do Skomoroch i mama zawiesiła ich w sali jadalnej na miejscu honorowem. Nie mieli oni jednak żadnych względów u szlachcica, ojciec zawsze ponuro na nich spoglądał i zdawał się ich tolerować jako przez wzgląd na żonę. Lecz jak tylko matka umarła, portrety znikły bez śladu i zupełnie nie mogłem dośledzić, gdzieby się podziały. Żona moja, wówczas młodziutka osoba, była przypuszczona do sekretu, ale związana słowem, milczała, jak kamień. Bardzo mi to było przykro przez wzgląd na pamięć babki i matki, żem te Lary pozwolił tak zaprzepaścić. Więc gdy ojciec umarł, zacząłem żonę egzaminować i dowiedziałem się dość smutnej prawdy. Icio Rzis, ślepy na jedno oko i bardzo podupadły na majątku żydek, a niegdyś kupiec zbożowy, kupił stare biurko jeszcze po jegomości i dostał w dodatku trzech kasztelanów. Pojechałem zaraz do miasteczka i po małym targu odkupiłem portrety za 3 ruble. Trzeba ich było szukać na spichlerku na górze, lecz w jakim stanie ich odnalazłem! Ostatni kasztelan wyglądał wprost ohydnie, szczury odgryzły mu nos i jedno oko, drugi miał głowę do połowy zjedzoną, a trzeci tak podziurawiony, że przypominał mapę Rzeszy niemieckiej. Nie mogłem patrzeć bez oburzenia na ten bezprzykładny upadek, ratować nie było już co, wziąłem jednak konterfekty i przywiozłem do Skomoroch, zadowolniony, żem przynajmniej wybawił senatorów z opresyi żydowskiej. Tu zaś, pomyślawszy, że inaczej być nie może, włożyłem kasztelanów w piec chlebowy i zrobiłem *auto-da-fe*, smutnie szepnąwszy: *Sic transit gloria mundi*!

Kończąc ten szkic pobieżny, zaznaczam, że przypadkowo dowiedziałem się o śmierci Rudolfa Piotrowskiego, który ociemniawszy, powrócił do Francyi i umarł w zakładzie dra Gałęzowskiego w poprzednim wieku, licząc lat 83.

Stanisław Bobelak.

Musica proibita.

(Pieśń zakazana).

(Ciąg dalszy).

Po obiedzie towarzystwo, złożone z Matyldy, jej matki, panny Carasównej, generałowej z mężem, profesora i naszych dwóch znajomych, wsiadłszy do łódek, kazało się przewieść na drugą stronę przystani, do miejsca t. z. „Velopin“, zkąd następnie udało się piechotą do celu wycieczki, oddalonego od miejsca wylądowania o kwadrans drogi.

W drodze Matylda, idąc obok Bolesława, zagadnęła go nagle:

— Czy wiesz pan, dlaczego prosiłam pana, byś nam towarzyszył?

— Dlaczego?

— Trudno nam się rozmówić z tutejszymi mieszkańcami, bo z nas nikt nie zna języka włoskiego, którym pan włada biegle; ja wprawdzie uczyłam się przez zimę, ale poczyniłam dotychczas bardzo małe postępy.

— A więc... brakowało tłumacza i temu jedynie zawdzięczam, że zostałem zaproszony do wzięcia udziału w wycieczce?

— O, nie mów pan tak. Nie dlatego... tylko mama i my chciałyśmy pana wciągnąć w towarzystwo, którego unikasz.

W tej chwili generałowa zbliżyła się do nich, zwracając ich uwagę na olbrzymi aloes, który rósł z prawej strony drogi i rozmowa zeszła na inny temat.

Przyszedłszy do Cigale, zaproponowała generałowa, aby ze względu, że jeszcze za wcześnie na podwieczorek, przejść się aż do kapliczki Madonny Annunziaty, wznoszącej się tuż obok latarni morskiej, na krańcu zatoki. Propozycya ta została tem chętniej przyjęta, że droga ta, prowadząca brzegiem morza, należy do najładniejszych spacerów na całej wyspie. Zwiedziwszy kapliczkę, w której znajduje się wielka liczba ofiarowanych przez marynarzy obrazów, przedstawiających okręty w niebezpieczeństwie, udali się następnie do pobliskiej latarni morskiej, skąd oczom ich przedstawił się wspaniały widok.

Na południe i zachód, jak daleko okiem sięgnąć można było, rozciągała się niezmierzona przestrzeń morza. Było ono dziwnie czyste i spokojne. Słońce przeświecało pogodnie, ani śladu wiatru, ani jednej chmurki na niebie. Tylko tu i ówdzie dostrzedz można było żaglowce, dążące w różnych kierunkach, pomiędzy którymi wyróżniały się po żółtych i brunatnych żaglach łodzie rybaków z Chioggy. Na północy widać było kilka wysp i wysepek, a pomiędzy niemi parowiec, którego gęsty i czarny dym wznosił się prostopadle w górę.

Matylda, usiadłszy na jednej z ławeczek, zwróciła się nagle do Bolesława z zapytaniem, jak się nazywa jedna z pobliskich wysepek.

— Która?

— Ta pierwsza stąd, kształtem swym przypominająca wyspę Helgoland.

— To jest... wyspa Sansego...

Słowa te wypowiedział tak dziwnym i zmienionym głosem, że Matylda, zdziwiona, popatrzyła na niego, przyczem dostrzegła, że twarz jego nagle pobladła.

— Dziwny jakiś człowiek — pomyślała, poczem dodała głośno: nie słyszałam o niej nigdy...

Przez kilka następnych dni Bolesław towarzyszył Matyldzie we wszystkich jej przechadzkach, chodził z nią na wybrzeże, gdzie szukali muszli, woził ją łódką po morzu, bawił ją, jednem słowem, nie odstępował prawie na krok. Pewnego południa liczne towarzystwo wybrało się na przejażdżkę łódkami do t. zw. „*bocca falsa*“ (stanowiącej drugi wjazd do przystani, lecz tylko dla łodzi rybackich, gdyż jest bardzo płytką), skąd powracano pieszo, dobrze utrzymaną drogą, wzdłuż wybrzeża.

— W drodze, Bolesław, idąc na przodzie z Matyldą, zapytał ją:

— Czy znaną jest pani pieśń włoska: „musica proibita“.

— Nie — odpowiedziała zapytana.

— Co? Pani nie znasz tej pieśni?

— I cóż w tym dziwnego, że jej nie znam?

— To, że osoba tak... uczuciowa, jak pani, nie zna tej cudownej pieśni...

— Więc niech pan mnie jej nauczy.

Zamiast odpowiedzi Bolesław zaczął nucić półgłosem:

„*Vorrei bacciar i tuoi capelli neri,*
„*Le labra tue e gli occhi tuoi severi,*
„*Vorrei morir con te angel di Dio*..

lecz w tej chwili urwał, dodając:

— Daruje pani... innym razem...

— A co znaczy tych kilka wierszy?

— Wiersze te oznaczają:

„Chciałbym całować czarne włosy twoje
„I oczy twe, ssać z ust twych czaru zdroje
„I umrzeć z tobą, boski ty Aniele...

Na te słowa Matylda spłonęła, co nie uszło uwagi Bolesława.

W następnych dniach matka Matyldy, cierpiąc na migrenę, nie wychodziła z pokoju, tak, że Matylda cały wolny czas spędzała w towarzystwie Bolesława, gdyż Kazimierz zajęty inhalacyami, większą część dnia bawił w swem pomieszkaniu. Czasami, gdy szli razem, Bolesław, nucił półgłosem pieśń:

„*Vorrei bacciare i tuoi capelli neri*
„*Le labra tue e gli occhi tuoi severi*“

co słysząc Matylda, to się rumieniła, to bladła na przemian, nigdy jednak nie prosiła go, by się wywiązał z danego przyrzeczenia i dokończył jej.

W kilka dni później przy końcu kolacyi pani Krassa oznajmiła, że para włoskich muzykantów prosi o zezwolenie odegrania kilku aryj włoskich. Gdy się na to zgodzono, weszła do sali młoda, lecz czarnymi wąsikami zeszpecona kobieta, a usiadłszy przy jednym z bocznych stolików, zaczęła grać na mandolinie, podczas gdy towarzyszący jej mężczyzna, zapewne mąż, akompaniował na gitarze.

Podczas jednej z pauz Bolesław, siedzący dotąd obok Matyldy, powstał nagle, a podszedłszy do muzykantów, zamienił z nimi kilka słów. Powróciwszy następnie na swe miejsce, rzekł do Matyldy:

— Za chwilę usłyszy pani „*musica proibita*“.

I rzeczywiście za chwilę odezwały się w sali do głębi wzruszające tony tej smętnej pieśni. Muzycy grali znakomicie, to też gdy skończyli, zerwała się burza oklasków, jedynie Bolesław i Matylda siedzieli jeszcze czas dłuższy zamyśleni... aż wreszcie ona odezwała się:

— Melodya tej pieśni nader smutna i tkliwa, czy i słowa także?

— Usłyszy je pani jutro — odrzekł Bolesław — poczem spojrzawszy na nią przenikliwie, pożegnał się i wyszedł po śpiesznie z sali, a Matylda długi czas jeszcze patrzała na drzwi, za którymi zniknął.

Prześliczna pogoda dnia następnego zgromadziła już około godziny ósmej przedpołudniem na wybrzeżu masę kuracyuszów, pomiędzy którymi Bolesław szukał daremnie błękitnej mantyli Matyldy. Nareszcie ujrzał ją wychodzącą z kapliczki St. Antoniego i natychmiast pospieszył do niej.

— Przepraszam, że dałam panu na siebie czekać, ale miałam jeszcze coś do załatwienia dla mamy, która przedpołudniem nie wyjdzie z pokoju, ponadto dziś sobota, w którą ja zawsze chodzę do kościoła pomodlić się za dusze mych zmarłych dzieci. Ale spodziewam się — dodała po chwili — że dziś wywiążesz się pan z obietnicy.

— Z której?

— A *„musica proib ta“* — dodała, spojrzawszy mu w oczy — wie pan co, pogoda taka cudowna, jedźmy łódką do *„Bocca falsa“* i tam... nieprawda, że pan się zgadza?

— Dobrze, jedźmy — odpowiedział Bolesław, a skinąwszy na wioślarza, by się zbliżył do schodków, wszedł do łódki i podał rękę Matyldzie.

Przez drogę rozmowa szła leniwo, Bolesław był zamyślony, a Matylda także jakby nieswoja. Nareszcie wylądowali, Bolesław zapłacił wioślarza, a zwróciwszy się do Matyldy, rzekł:

Jeżeli pani się zgodzi, możemy przejść wzgórzem obok wili Premuda do Velopin, a stamtąd do domu?

— Dobrze, chodźmy — brzmiała odpowiedź.

Droga, prowadząca początkowo brzegiem morza aż do nowobudującej się wili w zatoce, stawała się później stromą aż do szczytu wzgórza Vela Straza, skąd łagodnym spadem prowadziła ku wili Premuda. Wydostawszy się na szczyt, Bolesław prosił Matyldę, by spoczęła na znajdującej się tam ławeczce, sam zaś oparł się o niski mur, otaczający drogę.

A więc pani żądasz, bym śpiewał?

— Nie żądam tylko proszę.

— A więc dobrze, z góry jednak proszę o pobłażliwość, gdyż nie uczyłem się śpiewu.

I począł śpiewać. Początkowo nieśmiało i trwożliwie, wkrótce jednak donośnie i czysto rozległ się odgłos tęsknej pieśni:

„Ogni sera di sotto al mio balcone,
Sento cantare una canzone d'amore,
Piu volte la ripete un bel garzone
E battere mi sento forte il core.
Oh! quanto é dolce quella melodia!
Oh! come é bella quanto m'e gradita!
Ch'io la canti non vu l la mama mia
Vorrei saper perche me l'ha proibita?
Ella non c'e ed io vo' cantare
Le frase che m'ha fatto palpitare:
*„Vorrei bacciare i tuoi capelli neri
„Le labra tue e gli occhi tuoi severi,
„Vorrei morir con te angel di Dio
„O! bella inamorata tesor mio.“*
Qui sotto il vidi ieri a passegiare
E lo sentiva al solito cantare
„Vorrei bacciare i tuoi capelli neri
„Le labra tue e gli occhi tuoi severi
„Stringimi o cara, stringimi al tuo core
„Fami provar l'ebrezze dell' amore..“

Skończywszy śpiewać, spojrzał Bolesław na Matyldę i dostrzegł łzy w jej oczach. Ona powstawszy, podała mu rękę, a patrząc mu tak dziwnie w oczy, że mimowoli zadrżał, rzekła:

— Dziękuję panu serdecznie, lecz proszę o przetłumaczenie słów na polskie. Rozumie się, — dodała — że nie teraz, może później, jak pan będzie miał więcej wolnego czasu.

Bolesław zdawał się nie słyszeć tych słów, był, jakby niespokojny, a wzrok jego błądził do koła, aż wreszcie zatrzymał się na małej wysepce. Matylda dostrzegła w nim zaszłą zmianę i zapytała go:

- Co panu jest, panie Bolesławie? czyś może nie zdrów? Patrz pan, jaki cudowny widok roztacza się stąd, a ta prostopadle z morza wystająca wyspa, to Sansego, nieprawdaż?

Bolesław na te słowa wstrząsł się cały, spojrzał na Matyldę i odrzekł:

— Tak jest, to Sansego...

— Czy pan byłeś kiedy na niej?

— Czy na niej byłem?... Kilka razy...

— Co panu jest, panie Bolesławie? Pan masz jakiś smutek i żal w sercu. Że z wysepką tą wiążą pana jakieś wspomnienia, zauważyłam to już podczas naszej pierwszej przechadzki do kaplicy Madonny Annunziaty.

— Pani to zauważyłaś?.. A więc tak... patrząc na tę wyspę, przychodzi mi na myśl pewne smutne zdarzenie z lat ubiegłych..

— Smutne zdarzenie? Czy wolno wiedzieć jakie? Lecz przepraszam, może popełniam niedyskrecyę, wtrącając się w pańskie tajemnice, proszę mi darować, lecz nie uczyniłam tego ze złej woli, przeciwnie, widząc pana zawsze tak smutnego chciałabym, byś raz porzucił ten smutek... ja nie mogę patrzyć na smutne twarze, bo i mnie zaraz smutek ogarnia... Dlatego proszę pana, rozwesel się. A może to zdarzenie napełnia pana takim smutkiem... Przedstaw pan sobie, że ja jestem jego... siostrą.. powiedz pan, co panu jest... a może znajdzie się lekarstwo na pańskie cierpienia....

— Lekarstwo na moje cierpienia... czy to możliwe? — a patrząc na nią jakoś dziwnie smętno, dodał: Jutro opowiem pani to zdarzenie, a teraz wracajmy do domu...

(Ciąg dalszy nastąpi).



POLOWANIE NA LWY

Prof. Józef Brzeziński.

Kilka słów o stanowisku kardynałów w Kościele.

(Dokończenie).

Tak więc św. kolegium, jako senat Papieża dla całego Kościoła, miało również pod względem składu swych członków, przybrać charakter uniwersalny. Obecna organizacya instytucyi kardynalskiej, a zwłaszcza poszczególnych stałych wydziałów. czyli kongregacyj kardynalskich, polega przeważnie na konstytucyach Papieża Syksusa V. z r. 1586 i 1587, w których tenże ściśle określił liczbę wszystkich kardynałów do siedmdziesięciu, na podobieństwo starszych ludu izraelskiego za czasów Mojżesza — a w szczególności ustanowił liczbę sześciu kardynałów-biskupów, pięćdziesięciu kardynałów-dyakonów, co dotąd nie zostało zmienione. Prawo kościelne wymaga obecnie od kandydata do godności kardynalskiej wszelkich stopni tych samych warunków, które przepisuje co do wieku, wykształcenia i innych przedmiotów dla biskupów.

Kardynał-prezbiter winien mieć zatem ukończony 30 ty rok życia, dla kardynała-dyakona atoli wystarcza rozpoczęty 22 rok życia; musi on jednak w przeciągu roku uzyskać święcenie dyakonatu — w przeciwnym razie traci czynne i bierne prawo głosowania we wszystkich sprawach przekazanych kardynałom, mianowicie zaś prawo głosowania przy wyborze Papieża i prawo uczestnictwa z głosem stanowczym na soborach powszechnych. Wzmiankowane trzy kategorye kardynałów, nie, oznaczają bezwzględnie stopnia święcenia należących do nich purpuratów albowiem od XII. w. kardynałami-prezbyterami w znacznej części bywają kreowani biskupi i arcybiskupi, rezydujący w swoich dyecezyach, a kardynałami-dyakonami mogą być oprócz dyakonów prezbyterzy, nie bywają zaś biskupi według obecnej praktyki; kardynałowie-biskupi są rzeczywistymi biskupami dyecezyj suburbikaryjnych, zwolnionymi atoli od rezydencyi w takowych — natomiast zarówno jak wszyscy inni kardynałowie, z wyjątkiem tylko tych, którzy są ordynaryuszami w swoich dyecezyach, mają ścisły obowiązek, jako pomocnicy Papieża, rezydować w Rzymie.

Jako senat doradczy Głowy Kościoła występuje kolegium kardynałów obecnych w Rzymie, zgromadzone na t. zw. konsystorzach, t. j. na posiedzeniach, które się odbywają w obecności Papieża dla narady i decyzyi w niektórych najważniejszych sprawach kościelnych, z wyjątkiem sądowych, tudzież dla dopełnienia przez Głowę Kościoła pewnych uroczystych aktów. W dawniejszych czasach nader często i to w ściśle oznaczonych terminach, zwoływano konsystorz; mianowicie za Papieża

Inocentego III odbywano sesye konsystorskie trzy razy w tygodniu, poświęcone na podobieństwo Consistorium Principis cesarzów rzymskich, przeważnie sprawom sądowym. Później przekazano te ostatnie, tudzież wiele innych spraw mniejszej wagi, załatwianych dawniej na konsystorzu, kongregacyom kardynalskim i innym władzom kuryalnym.

Wobec znacznie ograniczonego zakresu działania konsystorze obecnie bywają zwoływane o wiele rzadziej, odpowiednio do każdoczesnych potrzeb rządu Kościoła, niekiedy tylko kilka razy do roku; są albo zwyczajne, czyli tajne, albo nadzwyczajne, czyli publiczne. Uczestnikami zwyczajnych są wyłącznie kardynałowie, obowiązani do zachowania tajemnicy urzędowej co do obrad i decyzyj, które odnoszą się do najważniejszych w Kościele spraw, t. zw. konsystoryalnych. Tu należy — oprócz prowizyi i zmian dotyczących urzędów konsystoryalnych, tudzież innych aktów łaski i spraw natury kościelno-politycznej — kreacya kardynałów.

Jest to akt, zawisły wyłącznie od woli samego Papieża, którego władza w tym kierunku nie może być istotnie ograniczoną ani przez ustawę, ani też przez umowę. Papież nie jest obowiązany przed kreacyą zasięgać rady (*consilium*), ani zezwolenia (*consensus*) kardynałów; a wystosowane do nich na konsystorzu zapytanie w słowach od dawien dawna używanych: *placetne vobis?* jest tylko formalnością. Również zalecenie, które na podstawie dawnego zwyczaju przedkładają przedstawiciele rządów: austryackiego, francuskiego, hiszpańskiego i portugalskiego Stolicy Apostolskiej co do jednego lub kilku biskupów swego państwa do godności kardynalskiej nie ma wcale znaczenia t. zw. desygnacyi osoby w ścisłem kanonicznem pojęciu, tak, jak elekcya dokonana przez kapitułę, monarsze prawo nominacyi biskupów, wykonywane na zasadzie papieskiego przywileju, lub prezenta, udzielona przez patrona; na podstawie tych aktów bowiem elekt, nominat lub prezentowany usyskuje t. zw. *jus ad rem*, t. j. ma prawo żądać od kolatora instytucyi na dotyczące beneficium; przeciwnie zaś uwzględnienie owych życzeń przedstawiciela mocarstw katolickich, do których należała i Polska, zawisło jedynie od uznania papieża.

Ojciec św., szanując ów zwyczaj, o ile tylko na to pozwala dobro Kościoła w danem państwie, przychyla się życzeń reprezentanta jego rządu w sprawie nadania godności kardynalskiej. W ten sposób kreowani kardynałowie zowią się kardynałami koronnymi (*Kronkardinäle*).

Istotnym aktem, na podstawie którego kardynał uzyskuje wszelkie prawa, z jego urzędem połączone, jest od czasu Piusa V ogłoszenie kreacyi kardynała, dokonane imieniem Papieża na tajnym konsystorzu; wszelkie inne formalności, przy kreacyi przepisane, nie są według obecnie obowiązującego w Kościele prawa w przeciwstawieniu do dawniejszych postanowień Eugeniusza IV, koniecznymi warunkami tej ważności. Kreacya połączona z rezorwacyą *in petto, scil. in pectore*, t. j. dokonana tylko ogólnikowo bez wymieniania nazwiska kardynała, staje się skuteczną już od chwili rezerwacyi, atoli tylko pod warunkiem, jeżeli potem nastąpi w prawdziwy sposób ogłoszenie nazwiska purpurata, kreowanego *in petto*.

Po dokonanej promocyi Papież nowokreowanym kardynałem, jeżeli znajdują się w Rzymie, wkłada sam na tajnym konsystorzu czerwone birety, mówiąc: *Est Cardinalis* (bądź kardynałem), poczem otrzymuje od nich adoracyę; nieobecnym zaś w Rzymie, pozaitalskim kardynałom, przesyła birety przez prałata swojego, t. zw. ablegata; zuccheto zaś doręcza im jeden z członków papieskiej gwardyi szlacheckiej. Kardynałom koronnym birety wręcza monarcha, względnie prezydent Rzeczypospolitej. Kardynałowie nieobecni w Rzymie w czasie swej promocyi skoro otrzymali birety, mają obowiązek w przeciągu roku pod utratą swej godności udać się do Rzymu dla odebrania czerwonego kapelusza, jako właściwego symbolu godności kardynalskiej z rąk samego Papieża. Ów obowiązek podróży do Rzymu kardynał nowokreowany stwierdza przed otrzymaniem biretu przysięgą. Włożenie kapelusza odbywa się uroczyście na nadzwyczajnym publicznym konsystorzu, w którym oprócz Papieża i kardynałów uczestniczą biskupi i inni prałaci kuryalni; również jest obecne ciało dyplomatyczne, członkowie arystokracyi rzymskiej i inne zaproszone osoby. Dawniej odbywały się na nadzwyczajnych konsystorzach uroczyste audyencye udzielane panującym, lub ich posłom (*oratores*), przybyłym do Rzymu w celu złożenia Papieżowi obedyencyi. Były to t. zw. *legationes obedientiae*, których obecnie zaniechano. Oprócz wręczenia kapelusza kardynałom ogłaszane bywają na konsystorzu publicznym uroczyście ostateczne postanowienia, powzięte w sprawach beatyfikacyjnych, lub kanonizacyjnych. W czasie, kiedy jeden z adwokatów konsystoryalnych przemawia wobec Papieża o cnotach i zasługach sługi Bożego, mającego być czczonym jako święty, nowokreowani kardynałowie w kaplicy papieskiej (Sykstyńskiej) po odprawieniu licznych modłów i ceremonij składają wobec najstarszych rangą kardynałów wszystkich trzech stopni, przysięgę, według roty, zawartej w bulli, którą otrzymują z rąk kardynała-dziekana św. kolegium; przyrzekają w niej wierność i posłuszeństwo Stolicy Apostolskiej, szanowanie jej praw i zupełne, nieustraszone poświęcenie się służbie Kościoła *usque ad sanguinem*. Rzeczona obszerna rota obejmuje nadto różne przysięgi, przepisane przez papieży Piusa V, Grzegorza XV i wielu innych, które w części odnoszą się do utrzymania w całości Państwa Kościelnego

Nowokreowani po wykonaniu powyższej przysięgi, powróciwszy z kardynałami do sali, gdzie się odbywa konsystorz publiczny (*Aula regia*), oddając adoracyę, klękają przed Papieżem, który im wkłada na głowę czerwony kapelusz, określając w krótkich słowach jego znaczenie. Zwykle po ukończeniu konsystorza publicznego odbywa się w jednej z sąsiednich sal papieskiego pałacu konsystorz tajny, na którym Papież wśród modłów dokonywa z nowokreowanymi kardynałami symbolicznej ceremonii zamknięcia, a wkrótce potem otwarcia ust na oznaczenie ścisłego obowiązku kardynałów do zachowania tajemnicy urzędowej i sumiennego spełniania zadania pomocników i doradców Głowy Kościoła. Wreszcie Papież wkłada im na palec pierścień na znak zaślubin z Kościołem, tudzież nadaje jeden z kardynalskich tytułów prezbyteryalnych, albo jedną z dyakonij.

El.

KUJAWIAK.

Nie ostawię przez niczego
Kobiety, dzieci,
Kobiety, dzieci,
Gdy mi odejść będzie trzeba:
Zostanie im szmatek nieba,
Co słonkiem świeci — a patrzy,
Co słonkiem świeci!

Ostanie im bór szumiący,
Leśne jagody,
Leśne jagody!
Polne grusze z zagonami,
Pszczelne roje nad lipami,
Srebrzyste wody — a rosa,
Srebrzyste wody!

Ostanie im nocką jasną
Miesiączek złoty,
Miesiączek złoty!
Będą miały pod głowiny
One wzgórza a doliny,
Moje sieroty — przez ojca,
Moje sieroty!

Będą miały i matula
Krzyżyk u drogi,
Krzyżyk u drogi!
I figurkę wedle wioski
Z obrazikiem Częstochowskiej,
Moje niebogi — serdeczne,
Moje niebogi!

Zostawię ja im u ludzi
Hojny przysiewek,
Hojny przysiewek!
Trochę woli, trochę doli,
A gdy w sercu co zaboli,
Przygarstkę śpiewek — od ucha,
Przygarstkę śpiewek!

Będą sobie wej chodziły
Z progu do progu,
Z progu do progu!
Nie sumując, przytupując,
Dobrym ludziom przytupując,
Ludziom a Bogu — na chwałę,
Ludziom a Bogu!

Może który wróblik ćwierknie
Lepiej tatula,
Lepiej tatula!
I wydzwoni takie echa,
Że poleci za nim strzecha,
Zgrzebna koszula — pierś chłopska!
Zgrzebna koszula!

Może zagra, a utrafi
Na takie gody,
Na takie gody,
Że za nutą, za skrzypicą
Pójdą ludy okolicą,
Jak wiosną wody — do morza,
Jak wiosną wody!

A on będzie grał, wywodził,
Pociągał smykiem,
Pociągał smykiem!
Aż usłyszy, choć niemowa,
Aż zatętni bór, dąbrowa
Siwym konikiem — kowanym,
Siwym konikiem!

Nie ostawię przez niczego
Sierotek z wdową,
Sierotek z wdową!
Będą miały na tym łanie:
Dobrych ludzi i kochanie,
Śpiewki nad głową — a zorzę
Śpiewki nad głową!

E. Walter.

„Manru“ we Lwowie.

„Przecież ktoś, co ma coś do powiedzenia“ — powiedział w swoim czasie Wagner, słysząc „Carmen“ Bizet'a. Te same słowa nasunęły się nam na myśl przy wczorajszej premierze „Manru“. Że Paderewski jest kompozytorem niepoślednim, twórcą rzeczy niepoślednich, noszących na sobie piętno oryginalne, o tem wiedzieliśmy oddawna. Wszystko to jednak, co dotychczas wydał, było małem, nieznacznem w porównaniu z takiem trzyaktowem dziełem dramatycznem, zapełniającem cały wieczór. Z dotychczasowych jego dzieł odnosiliśmy wrażenie, że Paderewski jest przedewszystkiem kompozytorem-muzykiem, i baliśmy się, czy posiada on tyle uczucia dramatycznego, aby całe dzieło ukształtować należycie. Obawy nasze okazały się płonnemi. Paderewski wykazał tyle poczucia sceniczności, tyle znawstwa efektów dramatycznych, że śmiało można mu rokować na tem polu wielką przyszłość wtedy, jeśli dostanie odpowiedniejsze, bardziej sceniczne i zajmujące libretto. Bo libretto, które napisał Alfred Nossig, pozostawia wiele do życzenia.

Z tem wszystkiem trzeba jednak przyznać, że libretto samo daje kompozytorowi dużo pola do popisu i to w różnych kierunkach i różnych rodzajach muzyki. Już samo przeciwstawienie dwóch żywiołów ludowych: cygańskiego i góralskiego, pozwala kompozytorowi czerpać z bogatego skarbca melodyi ludowych jednego i drugiego ludu. Paderewski skorzystał z tego w całej pełni: mianowicie akt pierwszy poświęcił w zupełności góralom, a ostatni cyganom, akt drugi zaś jest niejako całkiem kosmopolityczny, zawierający wylewy liryczne kompozytora. Ale i co do charakterystyki osób miał kompozytor w librecie wielką rozmaitość i szerokie pole działania.

Manru, Cygan, wskutek miłości do pięknej chłopki wyrzekający się związków ze swym koczowniczym ludem, walczący ustawicznie z własną naturą, ciągnącą oczywiście, jak zawsze, wilka do lasu — dalej Ulana, pełna miłości dla wybrańca serca swego, opuszczająca dlań dom rodzicielski i narażająca się na przekleństwo matki. Urok, coś w rodzaju wiejskiego Mefistofelesa czy Jagona, nieudana mieszanina złego i dobrego. Aza, namiętna Cyganka, wabiąca swemi wdziękami marnotrawnego syna cygańskiej rodziny — wszystkie osoby, tak od siebie różne a tak charakterystyczne, miały w sobie wiele ponęt dla kompozytora. Każdy, kto zna „Chatę za wsią“, spostrzeże zaraz, o ile librecista odstąpił od charakterystyki osób, dokonanej przez powieściopisarza — i że odstąpił częstokroć na szkodę dla całości. W „Chacie za wsią“ ów Urok nazywa się, o ile sobie przypominam, Tomek, jest na wskróś dobrym chłopakiem, upośledzonym przez naturę, podkochującym się potajemnie w Ulanie (w powieści Motruna), świadczącym jej wiele dobrego, a więc coś w guście Quasimoda z W. Hugo „Notre Dame de Paris“. Nie wiemy, co spowodowało p. Nossiga do zrobienia z niego potwora i czarownika. Chyba nie to, żeby Paderewski mógł kilkadziesiąt razy użyć efektu orkiestralnego, polegającego na zatykaniu trąb? Czy to się stało może na wyraźne życzenie kompozytora? Nie wiemy.

Przejdźmy do Muzyki, którą do tego libretta stworzył Paderewski. Wszyscy krytycy niemieccy zgodnie przyznają, że miał zadanie wcale nie łatwe. A jednak wyszedł zwycięsko i sukces, jaki opera jego miała w Dreźnie i wczoraj we Lwowie, był zupełnie zasłużony. Muzyk przedzierżgnął się z powodzeniem w kompozytora dramatycznego i dał w swem dziele miejsca o takiej sile i ekspresyi, że nikt by nie uwierzył, iż to pierwsze jego dzieło na tem polu. Zdanie Weber'a, wypowiedziane do Schubert'a, te „pierwsze opery, jak pierwsze kocięta, powinny być topione, względnie niszczone“ — nie da się zastosować do pierwszej opery Paderewskiego i gdyby Paderewski zechciał był pójść za radą Weber'a, literatura nasza muzyczna, i tak już uboga, byłaby uboższa o jedno potężne dzieło.

Ani uwertury, ani przygrywki dłuższej nie ma w „Manru“. Po kilku charakterystycznych tonach fujarki podnosi się zasłona. Bardzo trudne chóry żeńskie (przyczem chór jest rozdzielony na dwa odrębne chóry) odznaczają się miejscami piękną melodyą (n. p. przy słowach: „Gdy wieczorny zorzy znak na niebie w końcu stanie“.) Pełna werwy i życia scena tegoż chóru z Urokiem, scena między matką a Ulaną, tańce góralskie i cały finał ze wzmagającą się ustawicznie siłą w głosach i w orkiestrze muszą się podobać; takie to swojskie, takie nasze. Wszystko tu oparte na ludowych, podhalskich motywach. A że Paderewski jest ich wielkim znawcą najlepszym dowodem jego „Album Tatrzańskie“. Wszak on je pierwszy wprowadził w świat szeroki.

Akt drugi dał sposobność krytykom niemieckim do polowania na reminiscencye i do zarzutów naśladowania Wagnera przez Paderewskiego. Jeśli się jest bardzo upartym łowcą reminiscencyi, to oczywiście



NA ROZKŁADZIE.

już samo bicie młotkiem o kowadło wystarczy, aby przywołać na pamięć Wagnerowskiego „Zygfryda“. A gdy nadto i szczególnym trafem schodzą się mniej więcej słowa tekstu („Ja nie wiem sam, lecz muszę iść“ itp.) łatwo mogło się wytworzyć przekonanie o naśladownitwie... Jeśli ono rzeczywiście istnieje, to przyznać trzeba, jest tak powierzchowne i czysto zewnętrzne, że samemu dziełu żadnej ujmy nie czyni. Tak samo możnaby powiedzieć, że duet końcowy tego aktu z powodu powstania po wypiciu napoju miłosnego przypomina „Tristana“. Tymczasem ma on z nim tylko jedno wspólne... chromatykę. Chromatyka zaś nie jest chyba ani wynalazkiem ani patentem Wagner'a, ażeby jej używać nie było wolno było bez narażenia się na zarzut reminiscencyi. Akt drugi jest zbudowany pod względem muzycznem tak jednolicie, pod względem przeprowadzenia i stopniowania tak bez zarzutu, że słusznie można go nazwać arcydziełem w swoim rodzaju. Wplatanie motywów cygańskich (węgierskich), które silniej występują dopiero w akcie trzecim, jest dokonane z taką finezyą i mistrzowstwem, że zarówno muzyk jak i laik ma największą satysfakcyę a jednemu i drugiemu mimowolnie składają się ręce do grzmiących oklasków.

Ponadto w akcie tym, jak już wspomnieliśmy, liryzm Paderewskiego i jego pomysłowość metodyczna okazują się w całej pełni. Taka kołysanka Ulany (choć to rzecz nie długa) — taki śpiew tęskny Cygana lub solo skrzypcowe, grane bardzo pięknie przez prof. Wolfstala, to perły melodyjne wielkiej piękności.

Akt trzeci jest poświęcony Cyganom i muzyce cygańskiej... Nie można jednak nie zaznaczyć, że pod względem pomysłowości i przeprowadzenia czuć pewien wysiłek, wyczerpanie, i że pomimo ogromnej kunsztowności instrumentalnej nuży on ostatecznie słuchacza długością i ciągłem naprężeniem dramatycznem. Do długości przyczyniają się niepotrzebne zupełnie epizody, które wprawdzie muzyce i sztuce dekoracyjnej dają duże pole do popisu, ale samemu biegowi akcyi szkodzą. Taki naprzykład sen lunatyczny Cygana, rzecz muzycznie bardzo piękna, niema uzasadnienia w samej akcyi i wygląda tak, jakby autorowi chodziło o zrobienie czegoś nakształt „Feuerzauber“ Wagnera z tą różnicą, że zarówno „Feuerzauber“ jak i III-ci akt „Zygfryda“ ze śpiącą Brünhildą ma swoje uzasadnienie w akcyi obu oper — gdy w „Manru“ widz i słuchacz nie czuje wcale potrzeby takiego obrazu.

Że opera trzymana jest w stylu zupełnie nowoczesnym, nie potrzebuję chyba dodawać. Orkiestra gra rolę główną, wyjątkowo tylko obejmuje rolę akompaniatorki przy chórach i nielicznych ustępach czysto solowo-śpiewnych. Motyw przeprowadzany jest tylko w orkiestrze. Instrumentacya doskonała — mnóstwo efektów — razi jedynie nadmierne używanie zatykanych trąb i dzwonków. Efektów tego rodzaju dobrze jest użyć dwa, trzy razy — użyte częściej, powszednieją. Motywy, jakiemi się Paderewski posługuje nie są *Leitmotiv'ami à la* Wagner, w ścisłem tego słowa znaczeniu — użyte są one rozmaicie, w rozmaitych miejscach, bez ściśle oznaczonego celu i konsekwencyi.

Szerokiego wylewu melodyi (z wyjątkiem aktu drugiego) szukać trzeba tylko w chórach. Głosy śpiewaków traktuje Paderewski dość bezwzględnie, wymagając od nich wiele.

Jeszcze parę słów o wykonaniu. Trzeba się było spodziewać, że dyr. Pawlikowski wystawił operę jak najlepiej — nie można też zrobić najmniejszego zarzutu ani reżyseryi, ani orkiestrze, ani chórom. Wszystko było wystudyowanem do najdrobniejszych szczegółów, a za to dyr. Pawlikowski, p. Spettrino, korepetytor chórów p. Elszyk i reżyserya zasługują na podziękowanie i uznanie trudów i pracy.

Co się tyczy solistów, to, jak wiadomo, nie udało się pozyskać warszawskich sił operowych; musiały więc — z wyjątkiem Bandrowskiego, który, jak zawsze, ochoczo pośpieszył na wezwanie — wystarczyć siły nasze. Że nie tylko wystarczyły ale i zadowoliły w zupełności — najlepszy to dowód, że rozporządzamy dzielnymi śpiewakami. Niezrównanym był oczywiście Bandrowski, jako Manru; wygląd, gra i śpiew, wszystko było mistrzowskie. Charakteryzacyą świetnym Urokiem był Szymański, a swą, wokalnie niewdzięczną, partyę odegrał bez zarzutu. P. Ruszkowska głos ma piękny, ale niestety, ku największej oczywiście własnej szkodzie, prawie niekształcony, co się mściło np. na kołysance aktu drugiego. Zresztą, pod względem gry, kreacya była wcale dobrą.

Doskonałą Azą była pana Strassernówna — partya ta jest jakby stworzona dla niej, zarówno pod względem wokalnym jak i temperamentu, którego wymaga; p. Kasprowiczowa pochwał nie potrzebuje, a p. Jeromin w głosowo skromnej partyi Orosa nie miał pola do popisu.

O owacyi, jaką zgotował Lwów największemu polskiemu pianiście i jednemu z naszych wielkich kompozytorów, pisali inni więc ja jestem od tego zwolniony... Sądzimy, że na frontonie historyi muzyki naszej napis „Manru“ - pozostanie wyryty niezatartemi głoskami.

Ferdynad Saar.

DOKTOR TROJAN.

(Przeł. z niem. Józefa P.)

(Ciąg dalszy).

— O, co do mnie, to jestem swojem stanowiskiem zupełnie zadowolony i nie jest ono tak nieznaczne, jak się Panu może wydaje. Lekarz wiejski musi posiadać przymioty, jakie lekarze miejscy nie zawsze posiadają. Przedewszystkiem: zupełne i bezinteresowne oddanie się swemu zawodowi. A potem wzrok nieomylny — że tak powiem — dar boskości. Bo jeśli symptomata nie wystąpią zupełnie widocznie, to pytaniami nie można u naszych chorych niczego dojść; często nie umieją określić miejsca, gdzie czują ból. Zupełnie przeciwnie jak u chorych w mieście, którzy swój stan najczęściej sami, w dobrze ułożonej mowie potrafią opisać. Tu trzeba tylko mieć uszy. No a leczenie! W mieście da się łatwo zaordynować: Proszę się ciepło trzymać! Proszę nie wychodzić! Proszę wziąć to lub tamto!

Trzeba jechać do Karlsbadu! I tak dalej. Jakżeżby można tak postępować t u t a j, gdzie bieda i nędza mieszkają, a nawet ci nieliczni zamożniejsi we wszystkiem są ograniczeni? Tu trzeba indywidyum i jego warunki żywotne gruntownie poznać i zastosować do tego sposób postępowania. Nie dość zaordynować: tu trzeba także pielęgnować — a w wielu wypadkach nawet żywić, aby pacyent przypadkiem z głodu nie zginął. Tak mój szanowny Panie, na wsi nie dość jest być lekarzem, lecz trzeba być, także samarytaninem!

Gdy to mówił, głos jego fistułowy zniżył się, stał się dźwięczniejszy, a małe, ciemne oczy jaśniały dziwnym blaskiem. Twarz jego chuda była rozjaśniona.

— Tak, pewnie, piękne, błogosławione zadanie — rzekłem mimowoli przejęty.

Jest też mój Panie! A ja dumny jestem z tego, choć moją praktyką zaledwie na samo życie zarabiam.

Nie mam jednak żadnych potrzeb. Leczę za zupę... Tak, za zupę mój panie! Jeśli mam talerz polewki i trochę piwa — wskazał na szklankę — i tytoń do mej fajki — ujął ją jakby z czułością obiema rękami — wtedy jestem zupełnie zadowolony. I to jest też różnica między mną a innymi lekarzami. Większość chce tylko zarabiać. Prawda, że są do tego zniewoleni, gdyż nie każdy jest taki wolny jak ja. Ale co do tych, tak zwanych specyalistów, to ci zgartują pieniądze. Już tylko temi, swemi godzinami ordynacyi nagromadzają bogactwa. A im prędzej tem lepiej. Zaledwie zobaczył, już załatwił. Kto pieniędzy nie ma, ten niech sobie sam radzi. Bez pieniędzy nie ma kuracyi. Ja jestem pod tym względem inny. Najuboższych leczę właśnie najchętniej, a im dalej mieszkają, tem jest mi przyjemniej. Idąc do nich mam rozkosz nieocenioną. Każdej pory roku inną. Na wiosnę blask kwiatów i śpiew ptaków, w lecie falujące pola i żywicą woniejące lasy, w jesieni wznoszące się mgły, łagodne, złotawe barwy, w zimie milczący krajobraz w śniegu. Pominąwszy zaoszczędzenie czasu, nie jest mi więc wcale przyjemnem, jeśli mi kto konie pośle, mam zdrowe nogi i wysokie buty, które każdej słocie opór sta wić mogą.

— Pan jesteś wielkim miłośnikiem przyrody!

— Jestem nim i nie zazdroszczę panom lekarzom z miasta, którzy po dusznych i ludnych ulicach z domu do domu jeżdżą. Nie zazdroszczę także im mieszkań wspaniałych z eleganckiemi poczekalniami, gdzie albumy i ilustrowane gazety na stołach leżą — choć właściwie nawet domu nie mam.

Popatrzyłem na niego.

— Pan patrzysz zdziwiony? Tak jest w istocie. Ot, widzisz Pan, mój ojciec posiadał tutaj małe gospodarstwo. W ostatnich latach jego życia namówił go ktoś do przedsiębiorstwa, które miało na celu założenie kopalni węgla. Rzecz się zupełnie nie udała i cała posiadłość mego ojca poszła pod młot. Nabywca posiadał tyle pietyzmu, że nie wyrzucił starego chorego człowieka z domu i pozwolił mu w niem mieszkać do końca życia. Także i dla mnie przeznaczył małą tylną izdebkę, gdzie od biedy spać mogę; zresztą używam jej jako laboratoryum, ponieważ prawie wszystkie lekarstwa sam przyrządzam.

A więc nie posiadam niejako i pomieszkania — mimo to jestem zadowolony — i jak powiedziałem dumny ze swego zawodu.

Po tych słowach wstał, włożył kapelusz na głowę i ujął laskę i wziął fajkę.

— Chodź, Hendriczku — powiedział — czas do matki się dowiedzieć. Bywaj Pan zdrów! Było mi bardzo przyjemnie, że spotkałem Pana tutaj na górze. Uczy-

nił gest pełen godności, prawie łaskawy i oddalił się z głową w tył odrzuconą, krocząc szeroko, tak, że chłopię, które za rękę ujął, biedz musiało, by mu kroku dotrzymać.

Zamyślony patrzałem za tym dziwnym człowiekiem, którego umysł, mimo wszelkich braków był niezwykły, a w piersi szlachetne serce biło. Mimowoli nasunęły mi się na myśl słowa Wankego, że grozi mu prędzej lub później kara za fuszerkę. I rozważając wszystko, co z jego ust słyszałem, dziwiło mnie, że nie zawadzono dotychczas o jego niedokładne wiadomości. Świadczyło to w każdym razie o życzliwości obu lekarzy, obok których żył, o patryarchalnych stosunkach, jakie w tem miejscu jeszcze panowały..

Znikł mi teraz z oczu wraz z chłopcem w pobliżu wioski. Siedziałem jeszcze chwilę, patrząc w nieskończoną dal; po tem wróciłem do domu.

* * *

Nie urzeczywistnił się zamiar mój spędzenia tutaj całego lata. Już w pierwszych dniach sierpnia otrzymałem wiadomości, które mię zmusiły do szybkiego powrotu.

Z Trojanem się więcej nie zeszłem. Widziałem go tylko raz jeszcze jeden przelotnie, przejeżdżając powozem obok niego i zdawało mi się, jakoby umyślnie wzrok odwrócił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Eneston.

Ogródki lwowskie

Miesiąc maj i czerwiec to są miesiące ogródków miejskich i przedmiejskich. Zanim kto wyjedzie wogóle „na świeże powietrze“ to jest do kąpiel, szuka tymczasem tego „świeżego powietrza“ doryweczo, na czas niedługi, na jeden wieczór, na małą choćby godzinkę.

Szuka go każdy: urzędnik, suszący się po kilka godzin w pyle aktów biurowych, gogo, któremu się sprzykrzył już rozpalony bruk miejski, emeryt, bo ma już dość głębokich foteli, w którym dni całe wysiaduje przed oknem.

Pan domu, chroniąc się przed kwaśną miną żony, której krzyki małych bębnów już dojadły do żywego, zabiera w tym czasie cały żyjący inwentarz familijny ze sobą i wiedzie go do ogródka.

Wszystko tam ciągnie..

Emeryt i stary kawaler, urzędnik, idą tam na samotnika, gogo stara się przykleić do jakiegoś porządnego towarzystwa, które ponosi samo przez się koszta podróży, rodzina szanująca się z panem domu na czele, wyrusza osobną, krzykliwą i ludną karawaną, do której zalicza się i zachmurzona niańka, z małym bębnem na rękach, która tylko dlatego jest niańką do dzieci, że te dzieci z duszy i serca nienawidzi.

Punktem atrakcyjnym i rdzennym takiej wyprawy do ogródka jest kolacyjka w szerszem znaczeniu, w mniejszem zaś (powinno być węższem) poprostu kawa tylko, kwaśne mleko z kartoflami lub kaszą, niekiedy sam chleb z masłem.

Piwosze muszą znaleźć w ogródku także i swój nieunikniony pilznerek. Sączą go tam w cieniu drzew, wśród nawoływań kelnerów i swędu margarynowego, zalatującego od kuchni, z całem skupieniem i pietyzmem. Piwosz zostaje i w ogródku piwoszem. To się nazywa stałość przekonań.

Trzy są kategorye ogródków. Przedewszystkiem więc te najwykwintniejsze, chce się powiedzieć, pierwszej klasy ogródki. W słowniku sezonowym wabią się one dumnie restauracyami. Oto ich *trifolium*, zacny trójlistek: restauracya w ogrodzie miejskim, restauracya w parku Kilińskiego i na Wysokim zamku.

W ogrodzie miejskim prezyduje p. Rudolf. Gastronomia *sub Jove* znajduje w nim gorliwego wyznawcę. Tylko służba trochę deranżuje szanującego się gościa, bo w połowie skompletowana z żydów. Zresztą codziennie muzyka wojskowa i to w smyczkowym komplecie. Specyalnością kuchni są przysmażane pierożki na maśle i wyczekiwanie, nieuniknione zresztą wszędzie, na mającego je przynieść kelnera. Publiczność, jaka się tu gromadzi, jest przeważnie dystyngowaną, w sobotę i niedzielę rekrutuje się ze znanej i zawsze tej samej lwowskiej śmietanki żydowskiego świata.

Restauracya na Wysokim Zamku — znana i renomowana — pozostaje obecnie jeszcze wciąż pod gastronomicznem kierownictwem p. Wenzla. Kto go nie zna, kto tam nie był w tym zamkniętym restauracyi obrębie, okolonym biało lakierowanemi sztachetami, tulącemi się u stóp kopca Unii lubelskiej. Całe tutejsze urządzenie znamionuje konserwatyzm, z którego szydzi nielitościwie ząb czasu, dotykając brutalnie swym „palcem“ wszędzie nagromadzone tu kioski, stoły i krzesła. Kuchnia sprawiedliwa wedle możności, urzęduje tu po największej części w niedzielę i święta, w czas chmurny i słotny za to święci uczciwe bezrobocie. Są ludzie, którzy tu uczęszczają stale codziennie, z przywiązania dla przeszłości i z pietyzmu dla minionych lat.

Restauracya w parku Kilińskiego... Mieści się w dawnym powystawowym pawilonie miasta Lwowa. Dziś, z wiekiem pawilon, ten poczerniał i usiadł wśród ścieżek, krzewów i klombów róż, jak wielki, potworny lewiatan, zachęcający do wejścia. Wewnątrz tego lewiatana dominuje zawsze ugrzeczniony i nadskakujący, przysłowiony pan Alojzy!

Czego tu nie dostanie? Chleb Grahama i befsztyk z jajem, kawa z kożuszkiem i cacao pierwszej sorty. Świeże powietrze dodaje się darmo. Można je zato uwzględnić w napiwku dla kelnerów, którzy ze swej strony robią wszystko, ażeby gość tego świeżego powietrza użył do woli, jak najdłużej. I jakże tu nie ocenić takich dobrych chęci?..

Do tego trójlistka dodaćby jeszcze można (choć on bardziej *in partibus infidelium* wliczany bywa) ogródek w hotelu francuskim. Kapela damska to jego specyalność. Murawy zielonej pod nogami się niema, ale za to ma się dużo piasku, imitującego w śródmieściu niezgorzej filigranową Saharę. Nad głową żywy i dorastający baldachim liści małoletnich kasztanów, robiących wrażenie smarkaczy, przybierających miny dorosłych ludzi. Baldachim w stronę muru jest sztukowany dużą werandą z żaglowego płótna. Jedzenie w porządku, dostawiane w należytych (czytaj odstraszających) odstępach czasu. Dla uprzyjemnienia P. T. Publiczności słychać niekiedy w pobliżu szurowanie rondli i cichą, jak zefiru szept, woń kanału, która wita gościa na wstępie zaraz do ogródka. Jeżeli p. Nowakowski nie przykrył tego kanału dotychczas jakąś drewnianą — sposobem szufladkowym aplikowaną — prezerwatywą, to zrobił to jedynie dlatego, żeby nie naśladować w tym względzie już Magistratu, który przed laty namyślił się nakryć koryto Pełtwi. Przedewszystkiem oryginalność... Precz z naśladownictwem!

A teraz ogródki pomniejsze, przedmiejskie. Tyle ich, że wszystkich niepodobieństwem jest wyliczyć. Większość ich rozsiadła się wśród ulicy Żółkiewskiej, parę jest na Łyczakowie, kilka na ulicy Zamarstynowskiej. Wśród nich bryluje sławą, znaczeniem i dochodem, ogród Fleischmanna, tuż pod rogatką żółkiewską położony i zwany tylko dlatego „domem zdrowia“, że wielu tam niekiedy swoje zdrowie rozmyślnie traci.

Ogród Fleischmana aż prosi się o obszerną biografię. Co można, podamy. Więc najpierw muzyka wojskowa i to niekiedy. Potem raki, piwo akcyjne lwowskie i brudni kelnerzy, co do jednego żydowscy, to zawsze... Jedno jest u Fleischmana doskonałe, to zupa rakowa, doskonała o każdej porze dnia i nocy.

Wieczorem zajeżdża tramwajem konnym do Fleischmana niekiedy bardzo wyborna publiczność, żądna raków kamiennych, zwanych tak dlatego, że się niekiedy wylęgują do słońca na kamieniach nadbrzeżnych podlwowskich rzek i stawów. Porą bardziej spóźnioną dla szanujących się obywateli, zajeżdża tu weselsza część publiczności stołecznej, lubiąca puszczać się „durch“. Dla tej Fleischman ma wejście od tyłu, specyalny respekt, zupę rakową, separatki dyskretne, okrutnie francuski szampan, niekiedy nadpsuty, rzodkiewkę i znacznie podwyższoną taryfę przy płaceniu. Aby interes szedł...

Jest jeszcze trzecia kategorya ogródków. Mieszczą się one przy karczmach podlwowskich. Stałym repertuarem ich kulinarnem jest kwaśne mleko prosto od czarnego garnka. „Świży“ chleb od chłopa pożyczony i krakowska kiełbasa od p. Jacyki z pod rogatki łyczakowskiej. Specyały te podaje brudny żyd lub przymilająca się młoda żydóweczka, której cnoty nie śmiałbym pod grozą „chejrem“ zakwestyonować. Je się podane rzeczy pod zbitą z desek altaną na chybocącym się stole, siedząc na drugiej ławie o niepewnych zasadach, wszystko troje wykonane w imię haseł: „popierajmy wyrób krajowy i domowy“.

Dyamentem wśród tych ostatnich ogródków jest tzw. browar Grunda w Lesienicach, miejsce stałych niedzielnych wycieczek, nałogowo ulubione przez lwowskich facetów, feldfeblów, szwaczki i dyurnistów. Popołudniu w święta i niedzielę, odbywa tu się huczny „kierat“ czyli tańce, przerywane tupotem podkutych obcasów i nawoływaniami:

— Pójdziesz panna tanczyć ze mną — kupię pannie halbę piwa!...

Z reguły każdy „kirat“ taki kończy się kilku małemi awanturami, których epilog bywa notowany w protokole policyi i zapiskach Pogotowia ratunkowego.

Dla efektownego zamknięcia dopiero co wyliczonej seryi ogródków, wspomniemy jeszcze o jednym.

Jestto to „ogród zdrowiodajny“ Naftuły przy ul. Trybunalskiej, składający się z dwóch drzew namalowanych na tylnej ścianie werandy podwórza, przez jakiegoś Apellesa, który w ten sposób odrobił nadszarpnięty kredyt małej wieprzowej z dużem okocimskiem. Namalowanym drzewom urągają z dumnie podniesioną głową, dwa autentyczne krzewy bobkowe, w brudnych faskach, suchotniczo krztuszące się w kłębach dymu, produkowanego przez „stamgastów“ ogrodu zdrowiodajnego z namalowanymi drzewami. Górą tęczowa illuzya i mała wieprzowa..

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 23—52

Kantor wymiany

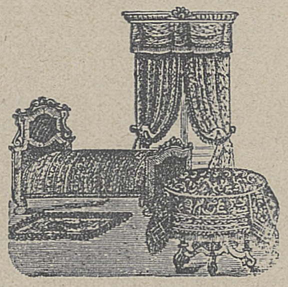
c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych. 27—44

H. HUTTER i W. KANNER

Pierwszorzędny skład papieru, przyborów do pisania i rysowania

(en gros & en detail)

„pod złotem piórem"

w Przemyślu

plac na Bramie l. 6.

Największy wybór w kartach widokowych i artystycznych.

12—12

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE"

„PRIMUS"

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2

31—52

KANTOR WYMIANY

BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 22—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

TUTKI

La Coronne, Dreyfus i Cartouche z prawdziwej bibułki francuskiej z watą

polecają

BRACIA PARNASS

Fabryka tutek i cygarniczek oraz wyrób cygarniczek

w BRODACH. 10—12



Pierwsze składy

obuwia karlsbadzkiego

Adolfa Lonkera

ulica Hetmańska l. 16. (Bank zaliczkowy).

LWÓW

ulica Karola Ludwika l. 21. (Hotel Bristol).

Obuwie tylko ręcznej roboty dla pań, panów i dzieci. — Najnowsze oraz najgustowniejsze fasony i olbrzymie zapasy. Najwykwintniejsze wykończenie i staranna trwała robota. Ceny najniższe, fabryczne, wyciśnięte wraz z marką ochronną na podeszwie każdej pary. 1—6



Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

32—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAŁ i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 33—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo przeniesiony magazyn
na plac Maryacki l. 10.
dawniej
Jakubowski & Jarra

obecnie

M. JAKUBOWSKI

poleca
swe wyroby ze srebra chińskiego i przybory kościelne. 5—12

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.